Nr. 30. Poznań, dnia 22. Lipca 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

PIĘKNE ZA NADOBNE
(HUMORESKA)

napisał

Władysław Sabowski.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Cały tydzień po téj rozmowie bohater nasz był jak z krzyża zdjęty. Stracił apetyt, nie mógł spać, a gdy co do niego mówiono nie rozumiał i odpowiadał ni w pięć ni w dziewięć:

„Trzy tysiące talarów... kamienica... oto co się nazywa interes!...“

Po całych godzinach siedział zadumany trzymając się za głowę obiema rękami wspartemi na kolanach. Myśl jego pracowała bezustannie. Gdyby był tak myślał nad kwadraturą koła, byłby najniezawodniéj rozwiązał to zagadnienie, — kto temu nie wierzy, niech się go spyta.

Myślał on jednak zupełnie nad czém inném.

Ułożył sobie w głowie pewien szemat założeń i wniosków, które łańcuchem wysnuwały się jedne z drugich, a z których wynikało niezbicie, że skoro magazyn stanowił część jego majątku, a majątek panny Pelagii był wynikłością magazynu, więc tak majątek jak magazyn stanowił jego własność, którą mu podstępnie wydarto i którą wszelkim możebnym sposobem „rewindykować“ należy. Gdyby guwernantki były go trochę lepiéj uczyły historyi, mógłby był na poparcie swego rozumowania przytoczyć, że kubek w kubek tak samo rozumowano przy innych „rewindykacyach“, ale nie szło mu tyle o historyczne argumenta, co o praktyczne wywindykowanie swojéj zagrabionéj własności.

Z początku myślał o drodze prawnéj.

„Nie ma sądu na świecie, któryby mi tego nie przyznał“, mówił do siebie, „sześć tysięcy talarów zwrócę, a wezmę co moje i basta...“

Chodził do kilku adwokatów, ale ci roześmieli mu się w oczy i powiedzieli, że o takiéj rewindykacyi jak świat istnieje nie słyszano, — widać i oni nie byli bardzo biegłymi w historyi.

Potrzeba było zatém myśleć o czém inném i po upływie tygodnia Czesław Duś wymyślił sposób genialny.

„Ożenię się z Pelasią“, rzekł do siebie, „starsza o parę lat odemnie, ale niczego dziewczyna... słowo daję, niczego... blondynka... przepadam za blondynkami, przecież będzie wolała statecznego i majętnego człowieka jak jakiegoś hołysza... oszczędna... gospodarna... robi majątek... trzy tysiące talarów rocznie... kamienica i to zaraz w sąsiedztwie... skarb nie żona.“

Przypomniał sobie o swojém kalectwie, ale to go nie zraziło.

„Jestem kulawy... no!... wszakże nie do tańca męża się bierze... cóż to szkodzi?... ona pewno na to zważać nie będzie... ręczę, że jéj się ta myśl spodoba.“

Postanowił nie zwlekać i oświadczyć się zaraz. Poszedł na dół do magazynu, który był jeszcze w jego domu, za-

czął rozmowę, ale jakoś zabrakło mu odwagi, skończyło się na pierwszy raz na tém, że był miękki, słodziutki, uprzejmy, nadskakujący, słowem taki jak nigdy nie był.

Panna Pelagia zaczęła coś przeczuwać, i uśmiechnęła się, ale tak, że musiałby kto jak w książce czytać w sercu kobiecem, gdyby mógł z tego uśmiechu wywieść jaki nieomylny horoskop dla planów i nadziei Czesława.

Za drugą razą Czesław pocałował pannę Pelagię w rączkę. Nie broniła mu tego, owszem zdawała się zadowoloną. Powinno to było naszego bohatera ośmielić do stanowczego kroku, ale i tym razem odwaga mu nie dopisała.

Przyszedłszy z trzecią wizytą, Czesław Duś przyniósł pannie Pelagii całe ćwierć funta cukierków. Miał zamiar przynieść pół funta i tyle kupił, ale rozmyślił się po drodze i rozdzielił dar na dwa razy.

Czwarta wizyta przypadła już w oktawę pierwszéj. Bohater nasz widocznie zachorował na galopujące amory.

Idąc tym trybem coraz daléj, po miesiącu niespełna, przyszło wreszcie do tego, do czego przyjść musiało — do wyznania.

„Pani“, powiedział Czesław Duś, „znamy się od tylu lat... moja mama ze wszystkich swoich panien najbardziéj kochała panią, a ze wszystkich synów mnie... czy to pani nic nie daje do myślenia?“

Panna Firmska odpowiedziała pytaniem:

„A panu?...“

„Mnie to daje do myślenia, że... że...“

Czesław miał już stanowcze słowo na języku, ale się zająkał i spudłował.

„Mnie to daje do myślenia bardzo dużo...“ powtórzył.

„Naprzykład?“ pociągnęła go za język panna Pelagia.

„Że jesteśmy prawie w równych latach...“

„Tak... prawie...“

„Że mamy prawie równy majątek...“

„O! o!... pan masz trzy razy więcéj...“

„Tém bardziéj jeżeli ja mam trzy razy więcéj... Jesteśmy oboje oszczędni, nie lubimy zbytków, słowem jesteśmy...“

„Jak rodzeństwo...“

„Tak... a moglibyśmy być jak coś innego... także na eństwo.“

Panna Pelagia nie chciała być domyślną.

„To jest?“ zapytała.

„Mał... żeństwo“, zdobył się nareszcie na wyznanie Czesław.

„Tak... gdybyśmy się pokochali i pobrali.“

„Ja panią już... kocham“, czerwieniąc się wyszeptał nasz bohater, „reszta zaś tylko od pani zależy.“

Panna Pelagia wybuchnęła śmiechem, ale jakimś dziwnie wymuszonym. Można się było domyśleć, że już oddawna zgadywała iż do tego wyznania przyjdzie, i że miała ten śmiech przygotowany, tak wyglądał nieświeżo i nieserdecznie.

„Pani się śmiejesz?“ rzekł urażony Czesław Duś.

„Mniéj więcéj... jak pan widzisz...“ odpowiedziała właścicielka kamienicy po Kalbergerze.

„I z czego, jeżeli wolno wiedzieć?...“

„Z nieszczerości pańskiéj, panie Czesławie.“

„Ależ ja mówię szczerze... jabym za panią skoczył... w wodę.“

„W głęboką?“

„Bodaj po... szyję. Tak, panno Pelagio, ja panią kocham.“

„Nie kłam pan i mów rozsądnie, a będę pana słuchała.“

„Jakże mam mówić?...“

„Powiedz pan tak: — Panno Pelagio, pani jesteś starą panną... —“

„O! o!“

„Nie przerywaj pan. — Pani jesteś starą panną, a ja jestem karykaturą... — “

Czesław chciał znowu przerwać, ale mu zabroniła giestem i recytowała daléj jego rolę:

„— Jesteśmy jak stworzeni dla siebie. Nie kochamy się, bo pani serce zwiędło już i wyschło, a ja go nigdy nie miałem. Oboje jednak znamy wartość grosza i wygodnego bytu. Ja mam apetyt na pani kamienicę i magazyn, a pani przydałyby się moje kapitały i dom. Zrobimy niezły interes, jeżeli połączymy się z sobą; na starość przynajmniéj nie będziemy oboje samotni... — Gdybyś pan tak mówił, panie Czesławie, słuchałabym pana, a może i... usłuchała.“

Czesław Duś, który w ciągu całéj téj przemowy giestami protestował przeciw jéj treści, po ukończeniu zamyślił się przez chwilę i zapytał:

„Czy pani mówisz to na seryo?“

„Najzupełniéj.“

„A więc... wystaw pani sobie, żem to powiedział.“

Słowa te heroiczne ledwie przecisnęły się Czesławowi przez gardło. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy je wymawiał. Jakiś instynkt mu mówił, że tak odpowiedzieć powinien, a jakieś przeczucie szeptało, że gdy te wyrazy powie, panna Pelagia zerwie się z krzesła dumna i z gniewem pokaże mu drzwi.

Okazało się, że instynkt był trafny, a przeczucie było mylne.

(C. d. n.)

Pogadanki o przemyśle i przyrodzie.

Petroleum, ogień grecki i nowy ogień płynny (Guyot.)

Któż zaprzeczy, że członkowie komuny nie byli aktorami strasznéj tragedyi! Któż zaprzeczy że przewodnicy morderstw, rabunku i pożogi, nie odegrali ról widzianych, w tak zwanych w Paryżu teatrach zbrodni. Ich dwumiesięczne panowanie świecić będzie w historyi jako straszne widowisko, w którém wszystko było przygotowane, skombinowane, na scenę wprowadzone, dyrygowane od początku do końca i w całości odegrane. Sztuka ta miała swój prolog, swoje zmiany, swoje rozwiązanie — i jak okropne rozwiązanie! Ostatnim wyrazem rozwiązania będzie wyrok

sprawiedliwości, prowadzący aktorów pod gilotynę, na galery i do Cayenny. Nic tam nie brakło: ani prozy deklamacyjnéj, ani intryg ciemnych, ani morderstw, ani zdrady, ani ucieczki — nic nakoniec co stanowi dramat bulwarowy. Mianowicie niespodzianki zadowolnić mogą najwięcéj wymagających: Wersalczycy protegowani cieniem nocy, przekraczają bramy miasta, oblegani zaskoczeni znienacka, zakładnicy wymordowani, walka stanowcza stoczona na cmentarzu i jako obraz ostatni — pożar Paryża!... Ale nie zapominajcie, że dramat ten był rzeczywistością i że nawet ciekawych widzów nie brakło, między którémi najlepsze i najbliższe miejsca zwycięzcy Niemcy zajmowali.

Sztuce zkądinąd brakło oryginalności. Była to tylko parodia czasów terroryzmu z 93 r. i obrzydliwa karykatura Rzeczypospolitéj. Komuna pragnęła sformować się na wzór konwentu z jego komitetami zbawienia publicznego, bezpieczeństwa ogólnego, z komisarzami, generałami, armią, marynarką, nawet i admirałami. A ponieważ ludzie stanu z téj bandy musieli wypadkiem gdzieś wyczytać, że konwent dla zbawienia ojczyzny, powołał wszystkich uczonych owéj epoki, więc i oni chcieli mieć także komitet scientyficzny, któryby obmyśliwał środki do obrony Paryża przeciw Francyi. Wyrzucano swego czasu Rządowi obrony i generałowi Truchu, że nieużył wszystkich środków fizyki i chemii przy oblężeniu Paryża przez Prusaków; lecz ci się tłomaczyli, że niechcą gwałcić prawa przyjętego przez cywilizowane narody. Rewolucyoniści z 18 Marca nie zatrzymali się przed temi skrupułami; nie byli oni uczonymi i nie mieli pojęcia o cudach chemii, lecz w braku znajomości pyrotechniki i sztuki rzucania pocisków, mieli fatalną i podłą odwagę uorganizowania oddziałów podpalaczy petroleum, do których nawet damy przystęp miały.

Oto droga komunistów. Wigilią chwili stanowczéj, aptekarz delegowany do departamentu nauk, kazał rozlepić po rogach ulic ogłoszenia, wzywające wszystkich posiadaczy oleju skalnego, fosforu i innych materyi palnych, o dostarczanie bez zwłoki czasu na ręce agentów komuny tych środków zniszczenia. Moment stanowczy nadszedł. Komisya t. z. scyentyficzna zebrała w ten sposób znaczną ilość materyi palnych. Tymczasem z chwilą każdą położenie stawało się trudniejszem; forty Issy i Vanves, które miały być w górę wysadzone wraz z ich obrońcami, były poprostu siłą wzięte, a żołnierze którzy tam weszli dla zatknięcia trójkolorowego sztandaru, prócz wysokiéj próby alkoholu, innego materyału palnego nie znaleźli. Oblegający byli już w odległości zaledwie kilku metrów od muru, a ogień się nie pokazywał.

Czegoż oni oczekiwali?

Oczekiwali wejścia wojsk wersalskich do miasta, ażeby pod tym pretekstem spalić w ich oczach gmachy publiczne i domy osób podejrzanych. Dokonali tego w sposób najprostszy, wylewając petroleum do sklepów i zapalając go przy pomocy zapałek chemicznych. Była to cała mądrość komisyi uczonéj komuny! Gazeciarze mówiący o minach utworzonych pod całem miastem i połączonych z sobą drutami elektrycznemi — o minach które miały na dany znak cały Paryż w górę wysadzić, wychwalali zarazem drogistów mszczących się za przegraną komuny. Mówili oni także o mających się rzucać przez artyleryą bombach napełnionych petroleum, ale fakt okazał, że usiłowania ich pod tym względem nie wielkie na szczęście owoce wydały. Sztuka ta potrzebowała znacznie więcéj umiejętności, niż podpalacze Paryża ją posiadali. Ich sposoby były elementarne i dające się nawet do pojęcia kobiet i dzieci zastósować. Podpalacze szli przez ulice niosąc lub na wózkach wioząc butelki napełnione petroleum; butelki te rzucali wewnątrz domu, które upadając rozbijały się, poczém na płyn rozlany rzucali zapałki.

Prawdopodobnie w płynie oleju skalnego znajdował się fosfor, i to właśnie objaśnia natarczywość komuny w rekwizycyi fosforu.

Tak więc głównym środkiem w podpalaniu Paryża był petroleum. Rozbierzmy w krótkości historyę naturalną, chemiczną, przemysłową i ekonomiczną tego produktu, który dziś nabrał tak fatalnego rozgłosu.

Petroleum, którego nazwisko oznacza „oléj skalny“ (petrae-oleum), jest po prostu powiedziawszy olejem mineralnym, tego samego pochodzenia i tego samego gatunku co nafta i różniący się tylko o tyle, o ile dystylacya go zmienia. Oba te oleje składają się z węgliku — wodorodu mniéj lub więcéj ulatniającego się, zawsze bardzo zapalnego i gorejącego ogniem białym i jasnym, ale jeżeli pali się nie w lampie, bardzo sadzowatym.

Nafta znaną była jeszcze w czasach starożytnych — nie tylko w Europie ale i w Azyi. Wydobywają ją z ziemi a exploatacya żadnych trudności nie spotyka. Zwykle w pobliżu źródeł w których ją znajdują, spotyka się źródła wody mineralnéj i gorącéj. Nafta wytryska często zmięszana razem z gorącą wodą mineralną i na powierzchni sztucznego lub naturalnego bassenu tworzy pokład olejny. W pewném miejscu w Persyi wydobywa się w ten sposób przez szczelinę w ziemi. Tam gdzie ziemia obficie nafty dostarcza, używają ją zwykle do oświecania miast i mieszkań. Służy ona równie w miejscu smoły. W Persyi, we Włoszech i na południu Francyi ludność używa nafty jako lekarstwo i przypisuje jéj wielkie przymioty medyczne. Niedawno jeszcze u południowych mieszkańców olej Gabiau cieszył się pod tym względem wielką reputacyą. Olej ten przedystylowany, jest używany przy fabrykacyi lakieru do rozpuszczania gumy smolnéj i do rozpuszczania kauczuku. Posługują się nim w laboratoriach dla ochronienia od wpływu powietrza i wilgoci metalów palnych jak sodium i potassium. Siarka i fosfor rozpuszcza się w nim w znacznéj proporcyi. Palność jego jest nadzwyczajna: zapaliwszy raz ugaszenie jest prawie niepodobne; nawet woda nie jest środkiem do ugaszenia; ziemia lub piasek wilgotny lepszy skutek wywiera, ale trzeba takowego wielkiéj ilości. Ponieważ nafta jest lżejsza od wody i zmięszać się z nią nie może, pływa po powierzchni paląc się aż do ostatniego atomu.

Jeżeli gdzie źródła nie dostarczają petroleum wielkiéj ilości, zastosowanie go naturalnie musi być ograniczone, a rola przemysłowo-handlowa mało znacząca. Znaczenie tego oleju datuje się od roku 1859. W tym bowiem roku w Stanach Zjednoczonych odkryto go w bardzo znacznéj

ilości. Już w r. 1830 niedaleko Borksville w Kentucky przy poszukiwaniu wody słonéj natrafiono na źródła petroleum, które wyrzucały go na cztéry metry w górę, dając płynu 300 kwart na godzinę. Płyn rozlał się po brzegu rzeki Cumberland i nikt nie myślał o zużytkowaniu go; tymczasem ktoś wypadkiem, czy téż dla zabawki podpalił na ziemi rozlany płyn; powstał ztąd straszny ogień, który zniszczył sąsiedni las i wszystko co na drodze spotkał.

W r. 1845 około Torentum, podobna okoliczność naprowadziła na odkrycie nowych źródeł. Tym razem utworzyło się w New-Yorku stowarzyszenie celem exploatowania źródeł petroleum, oczyszczenia go i wprowadzenia do handlu; usiłowania te jednak powodzenia nie miały. Dopiero w r. 1857 prace na nowo podjęte zostały, przyczém odkryto źródło dające na dzień 1800 kwart. Przy nowych poszukiwaniach zwiększała się wciąż liczba źródeł, mianowicie w Pensylwanii i Kanadzie.

Do końca r. 1860 liczono w Stanach Zjednoczonych około 2000 źródeł lub studni, z których 74 dawało na dzień przy pomocy pompy około 1165 baryłek, każda po 190 kwart. Nieco późniéj wykopano studnie głębokości 300 łokci, i znaleziono obfitość oleju tak wielką, że jedno źródło (najbogatsze) daje na dzień do 3000 baryłek. W tenczas to na wzór niedawno minionéj gorączki złota, opanowała Amerykę gorączka petroleum. „Nie podobna opisać", mówi jeden z naocznych świadków, „początków téj petroliady i nieporządku który był następstwem pierwszych poszukiwań. Tłumy ludzi, wozy odwożące zdobycz do kolei, pożary wzniecone explozyą, studnie i strumienie w ogniu, miliony stracone i zdobyte w dniu jednym, krzyk rospaczy i radości, wszystko to mięszało się z sobą. W końcu gorączka gry, ciągłe jak w Kalifornii kradzieże i zabójstwa uzupełniały obraz dający się tylko widzieć w Stanach Zjednoczonych. Grunt w tych miejscach doszedł ceny bajecznéj."

Ten sam naoczny świadek opowiada, że podczas wojny Stanów, właściciel najbogatszych źródeł w Pensylwanii, kazał zbudować ogromny wóz tryumfalny, i ozdobił go wieńcami, napisami i rysunkami instrumentów służących do wydobywania petroleum. Wóz ten zaprzęgnięty sześcioma końmi ciągnął po ulicach w New-Yorku właściciela bogatego źródła i inżynierów przy nim pracujących. Jeden z napisów był następujący: Petroleum is king, not cotton; co znaczy: Petroleum jest królem, a nie bawełna.

Właściciel obfitego źródła był obywatelem Stanów północnéj Ameryki. Bawełna była monarchinią południowców. Stany północne zanadto czuły w czasie wojny brak jéj, ażeby nie szukały w czémś nowém pocieszenia się; w każdym razie dobrze widziały one, że potężna i bogata monarchini-bawełna, nigdy nie będzie zdetronizowaną przez współzawodnika króla-petroleum. Dziwna namiętność i fantazya! Zapaleni republikanie, korzą jednak głowy przed pewnego rodzaju królewskością, przed bogactwem!

„Prawdziwym Amphitrionem
„Jest Amphitrion gdzie się obiad jada.

Ukazanie się, czyli raczéj odkrycie petroleum w Ameryce, przyjęte było w Europie z pewném niedowierzaniem. Nie odmawiano wprawdzie temu produktowi przymiotów pożytecznych, ale nie robiono iluzyi co do jego stron ujemnych. Petroleum zdawał się z początku wielkie mieć znaczenie w oświecaniu domowém; co więcéj, przypuszczano że zrobi rewolucyą nietylko w przemyśle oleju łupkowego, ale nawet w przemyśle oleju roślinnego. Przypuszczenia jednak się nie sprawdziły i zdaje się że nie sprawdzą. Doświadczenia nie okazały się przychylne dla petroleum. Publiczność zdecydowała, że cena niższa i lepsze światło nie są przymiotami pokrywającemi odor nieprzyjemny i grożące niebezpieczeństwo explozyi. Prawda, że dowiedziono, iż te niedogodności nie są ani absolutne, ani tego rodzaju, żeby przeciw nim środków nie było; ale są to tylko środki zmniejszające, lecz nie usuwające.

Petroleum jest materyą złożoną z rozmaitych gatunków oleju, różnéj gęstości. Odór nieprzyjemny, wydzielający się podczas palenia, pochodzi od oliwy najcięższéj, najlżejsze zaś spowodowywają explozyą. Używanie oleju średniéj gęstości jest najpewniejsze, bo nie daje ani odoru złego ani explozyi. Ta więc tylko powinna być przeznaczona do użycia — a oddzielenie lekkiéj i ciężkiéj przez dystylacyę jest bardzo łatwe: olej lekki ulatnia się pierwszy i ciężki osadza się w alembiku na dnie. W tym celu administracya oznacza granice gęstości oleju, który przeznaczony jest do handlu. Na nieszczęście, niektórzy fabrykanci, niechcąc poświęcić części swego towaru, znajdują sposób ominięcia przepisu, mięszając oleje ciężkie (które są bez wartości) z olejami lekkiemi. W ten sposób zmięszane dają ciężkość żądaną, ale łączą niedogodność i niebezpieczeństwo, których prawo uniknąć chciało. W tych warunkach chodziło o wynalezienie znaku innego niż ciężkość, po którym możnaby ocenić gatunek rzeczywisty petroleum. PP. Salleron i Urbain wynaleźli ten sposób w naprężeniu pary tego płynu i zbudowali aparat przy pomocy którego ściśle wymierzyć można to naprężenie. Zaradzono jednemu ale pozostało niebezpieczeństwo explozyi i pożarów w tenczas, kiedy wielkie ilości i różne gatunki są transportowane lub na magazyny składane. Portowe miasta Belgii i Holandyi niejednokrotnie świadkami były podobnych katastrof. W Stanach Zjednoczonych częste i straszne pożary zaznaczają panowanie króla-petroleum. Yaankeesy nie zrażają się jednak. Never mind. Go aheod!

Do krajów obdarzonych tym produktem należy także prowincya polska — Galicya. Pomimo niewielkich usiłowań w wyszukiwaniu źródeł, tu i ówdzie znajdują się takowe, i w bardzo prosty sposób są exploatowane. Gdyby nie nazbyt utrudniona komunikacya, zdrażająca produkt ten o tyle, że transportowany oléj z Ameryki jest tańszym w Austryi niż Galicyjski, prawdopodobnie byłby jednym z wielkich źródeł bogactwa nasze kraju. Prócz użyteczności w przemyśle i handlu europejskim, petroleum ma to jeszcze za sobą, że wydobywanie z bardzo małemi kosztami jest połączone; że przy dystylacyi żadna z odpadłych części bez użyteczną niezostaje. Przed laty dziesięciu kompania francusko-polska chciała na wielką skale exploatacyę rozpocząć, ale wysłani poprzednio inżynierowie oświadczyli, że jeżeli z jednéj strony niektóre źródła przewyższają wartością źródła amerykań-

skie, to z drugiéj brak przemysłu i handlu wspomagającego, brak komunikacyi głównie, pomyślnych rezultatów nieobiecuje. Być może, że przy ogólnym ruchu i postępie jaki w bratniéj nam prowincyi objawiać się zaczyna i na produkt ten uwagę zwrócą. Daj Boże!

Wprzód nim o podpalaczach komuny mówić będziemy, wspomnieć musimy o ogniu greckim, o którym w czasie oblężenia wiele mówiono i którego sekret miał być odkryty. Mylne to było twierdzenie, bo sekret nigdy nie istniał. Ogień grecki przestraszający niegdyś, miał posiadać według legendy, własność palenia się w wodzie; fenomen ten, jako sprzeczność absolutna dwóch żywiołów, uchodził za cudowny. Dziś nauka cud wyjaśniła i zarazem dowiodła, że jeżeli woda gasi ogień, służyć może zarazem do podtrzymania i nawet zatlenia. Ktokolwiek bądź słuchał kursu chemii, przypomni sobie ciekawe doświadczenie polegające na umieszczeniu w naczyniu z wodą kawałka metalu zwanego potassium. Metal ten ma własność rozkładania wody do temperatury zwyczajnéj. Zabiera on kwasoród, oxyduje się — albo się pali wydając ciepło tak silne, że wodoród wydobywając się i łącząc z powietrzem, płomieniem pali. Byłby to rzeczywisty ogień grecki. Dawniéj ten ogień używano w Grecyi i Arabii, lecz kompozycya jego była prostsza. Potassium nie brano; podstawa słynnéj mixtury leżała w nafcie nieoczyszczonéj, do któréj dodawano siarkę, smołę i saletrę, zlewano to następnie w garnki lub sikawki i temi oblewano budowle lub okręty które miały być spalone.

Dzisiaj i pod tym względem nauka postąpiła. Wynaleziono ogien fenianów i ogień lorrain. Pierwszy jest tak nazwany od irlandzkich fenianów, którzy dla Anglii są tém, czém są komuniści dla Francyi. Przed kilkoma laty, w celu spalenia Londynu jak komuniści Paryża, przygotowali oni znaczną ilość tego ognia. Ogień to straszny — tém straszniejszy, że rozlewa odor duszący. Ogień lorrain jest udoskonaleniem ognia fenianów. Jedna setna część kwarty tego płynu daje płomień blisko na dwa łokcie wysoki.

Nakoniec przed miesiącem p. Guyot przedstawił akademii nauk w Paryżu nowy ogień ciekły, który jest znowu udoskonaleniem ognia lorrain. Wynalazca nazwał go Nowym ogniem lorrain.

Niechcemy powtarzań składu wszystkich tych kompozycyi — dla naszych czytelników jako niespecyalistów potrzebnem to nie jest. Z tego wykazu widzimy, że cywilizowanéj ludzkości na środkach zniszczenia nie zbywa i że człowiek w chwili obłąkania przed żadnym z nich się nie cofnie. Lecz bądźcie spokojni czytelnicy! Po okropnem doświadczeniu dziś jest prawie pewnością, że ani ogień fenianów, ani lorrain, ani Guyot użycia w wojnie mieć nie będzie. Te straszne środki uważać należy nie jako złośliwy wynalazek, lecz jako proste badanie naukowe, którem chemia współczesna wzbogaciła swój katalog.



Palais Royal w Paryżu.

Po bożym świecie i w podziemiach Wieliczki.

Wyjątek z Pamiętników

Wincentego Pola.

(Ciąg dalszy.)

Kraków! Kraków! co to w tym jednym słowie leży dla Polaka.

Wjeżdżając do Krakowa, kto nie był Polakiem, ten się nim staje — a kto był Polakiem, staje się chcąc, czy nie chcąc poetą.

Mój Wieliczanin tryumfował tedy bardzo, że już widok Krakowa w oddaleniu jeszcze takie na mnie robi wrażenie. Byłem już w ówczas Polakiem i poetą i szalałem z uniesienia, ale trzeba było zapomnieć o sobie, gdyśmy do Podgórza wjeżdżali, bo czujność policyi była tu wielką i niebezpieczeństwem groziła, wstrzymać się choćby na chwilę przed jaką gospodą — konie, zaprząg, chłopak co nas powozi i bryczka, wszystko świadczyło, że to podróżni z Rusi, a więc z innego kraju, jeszcze w owych czasach. Na szczęście moje znał Kazimierz do Kapelanki drogę i tęgim kłusem jadąc, przejechaliśmy Podgórze szczęśliwie. W Kape-

lance zajechaliśmy do karczmy i Kazimierz puścił się opytém po wsi odszukując owego cieślę Tanderę do którego mnie Seweryn Goszczyński odesłał.

Tandera był poważny człowiek i chodził co dzień na robotę do Krakowa, przeprawiając się na Rybakach przez Wisłę. Tu nie było tak wielkiéj czujności policyi jak na moście podgórskim. Tym tedy szlakiem przesuwała się Polonia do Bielan i Krakowa.

Na szczęście była to niedziela, i Tondera powrócił był już z żoną z Krakowa, po mszy świętéj i po kawie. Wrócili byli właśnie oboje rozpogodzeni do domu. Tandera był poważny cieśla, Tonderka wygadana gosposia krakowska wcale jeszcze gładka. Mieli syna o kilka lat młodszego odemnie i po wszystkiem znać to było, że był grosz i dostatek w domu, bo Tondera był podmajstrem, a Tonderka rządną gosposią.

Gdyśmy się rozmówili o co chodzii, powiada nam Tondera:

„Panom damy radę, ale co z końmi i człowiekiem zrobić? w każdym razie wypada tu u nas przenocować, bo dodopiero jutro rano można się przeprawić na Rybakach do Krakowa. Często ja przynajmuję ludzi do roboty, to tam nie będzie nikogo dziwiło, że pójdziecie przy mnie, ale jeden będzie musiał wziąść piłę, a drupi topory i przebrać się tak jak cieśle na robotę chodzą, to przejdziem do Krakowa.“

Kazimierz mówił, że dla niego tego nie potrzeba, bo ma przepustkę jako Wieliczanin do Krakowa, więc chodziło tylko o mnie, konie moje miały odwieść Kazimierza na Podgórze, a potém z kartką jego odejść do pana Ludwika Kępińskiego do Pierzchowca pod Bochnią, którego znał Kazimierz bardzo dobrze i gdzie ad filiciora mogły czekać na mnie.

Wiedział o tém Kazimierz, że w ostatnim razie pozwolił mi wuj nawet sprzedać konie i bryczkę, a chłopaka wziąść do usługi albo odesłać na powrót do Mostek, więc powiada mi na odjezdnem, umówiwszy się z Tonderą o kawiarnie w któréj nazajutrz mieliśmy się z sobą zejść w Krakowie:

„Albo konie sprzedam albo je umieszczę, a jutro z rana zobaczymy się w umówionéj kawiarni w Krakowie.

Nie tak się stało. Ledwo że wyjechał na Podgórze, zaczepił go jakiś oficer, spojrzawszy po koniach i bryczce i powiada:

„To od Lwowa, jeżeliby tę bryczkę można nająć do Lwowa, tobym dobrze zapłacił, bo z żoną i z dziećmi przenoszą mnie do garnizonu Lwowskiego i mam dla siebie powóz, ale potrzebuję przynająć furę.“

W trzech słowach dobił Kazimierz targu, oficer wyliczył mu pieniądze, a Kazimierz oddał mu konie, bryczkę i chłopca, który się z całéj duszy cieszył, że powraca do domu i ma pewność, że wioząc manatki oficera, nie będzie nagabywanym w drodze.

Nazajutrz ledwo oświtło, przebrałem się w sukmankę krakowską młodego Tondery i włożyłem jego czapeczkę z pawiem piórkiem na głowę. Tonderka wzięła moje sukknie do tobołka na jedno przebranie, a walizka z resztą rzeczy została u nich na schowku. Tondera włożył na mnie piłę i węgielnicę, i podchodzimy na Rybakach do przewozu.

„A co to za krakusa macie“, pytali na rogatce strażnicy. A Tonderka obsiadła ich z gębą — ot taki próżniak jak i wy — urlopnik. Mój zjednał go do roboty, ale nie wiem, czy to się temu robić zechce, tak jak i wy próżniaki nie macie roboty, ta kłopocicie tylko ludzi na przeprawie — puszczaj jeden z drugim, oto masz grosz od przewozu, a tam w Krakowie czekają ludzie na śmietankę i mleko.

„Puszczaj! puszczaj!“ krzyczał jeden na drugiego.

A Tonderka im na to:

„Ja wam tu próżniaki jeszcze piękniéj powiem jak z Krakowa wrócę.“

Prom odbił od brzegu, a ja patrzyłem po raz pierwszy z blizka na zamek krakowski. Rano było jeszcze. Ulice Krakowa były jeszcze puste — sługi tylko biegły z kobiałkami na targ i z trzaskiem otwierały się bramy w kamienicach.

„Idźcie tam na kawę“, mówiła nam Tonderka, „a ja odniosę śmietankę i przyjdę tam do was.“

W kawiarni kończono właśnie sprzątanie i zamiatanie, drzwi i okna stały otworem; jakaś mądra kawiareczka przypatrywała mnie się bardzo ciekawie, gdyśmy z Tonderą usiedli za stołem.

„Kawy“, rzekł Tondera obojętnie do niéj.

Ale ona patrzy mi w oczy i powiada:

„Chyba to prawda! Chyba to wasz czeladnik panie podmajstrzy.“

„Albo co?“ spytał Tondera groźno.

„Ho! ho! takie ręce nie do topora, a jakie wąsiki!“

„A Krakus! a tobie co do tego?“

„Eh! tu niema sekretu, bo to w Krakowie.“

„Nie pleć, ale dawaj kawy“, krzyknął znowu Tondera.

„Chyba to prawda, żeście tu na kawę przyszli — ale dam, dam“, i poskoczyła i dała nam dwie szklanki kawy.

W pół godziny może przybiegła Tonderka, wzięła samą panią do alkierza, poszeptała coś z nią, a potém kiwnęła na mnie.

Kiedym wszedł do alkierza, dobyła suknie moje z tobołka, podano mi wody do umycia i przebrany siedziałem sobie w kącie alkierza, czekając na przybycie przyjaciela.

Tondera musiał do roboty stawać, Tonderka powróciła do domu, a ja zostałem na opiece kawiarki, która mnie upewniła że bezpieczny jestem.

Kanalia Kazimierz zaspał sprawę i ledwo koło godziny jedenastéj wpadł niespokojny do kawiarni. Słyszałem jak go kawiareczka mistyfikowała, aż nareszcie puściła do alkierza.

„A gdzież pójdziem?“

„A gdzie chcesz?“

„Chodźmy naprzód na wódkę, a potém się puścim po Krakowie.“

(C. d. n.)

O MASONACH.

Od pewnego czasu zjawił się w piśmiennictwie naszém wyraz „mason.“ Jedni używają go w znaczeniu pogardliwem, inni powtarzają nierozumiejąc i mianują niem osoby niby należące do sekt tajemniczych, których zadaniem ma być walka przeciw porządkowi społecznemu, religii, i t. d. Niedawno jeszcze pewne pisma na oznaczenie u nas partii narodowéj, używały wyrazu radykał, lecz prędko się spostrzegły, że epitet ten nie odpowiada celowi. Widziano bowiem, że większość czytelników nie rozumie znaczenia jego, że nie jest utarty w zwyczajném życiu i że dla tego nie dosięga celu.

Trzeba było szukać innego wyrazu, innego hasła i znaleziono go w pismach radzcy ks. Müllera w Berlinie. On to oddawna nazywa masonami ludzi przeciwnych jego kierunkowi, on to jeszcze Gołuchowskiego i Potockiego tytułem tym obdarzał.

Wiemy że tu w Poznaniu na Grobli istnieje loża wolnych mularzy, przez lud zwykle masonami, czyli téż farmazonami zwanych, a zatém jest miejsce gotowe zkądby fantazya ludu czerpać mogła niestworzone bajki i przypisywać masonom to, co nigdy w ich głowach nie powstało.

Powiedzmy otwarcie, że jest mniemanie ludu, iż farmazon, a zatém mason trzyma z djabłem, który wcielony przychodzi na zebranie masonów i nawet pieniędzy dostarcza, tak że żaden farmazon czy mason biednym być nie może.

Niechcemy tu ani napadać ani bronić stowarzyszenia masonów; celem naszym będzie wykazać jego początek, rozwój i stan dzisiejszy i w końcu przekonać czytelników, że to co wybujała fantazya ludu stwarza, na rachunek niewinnego stowarzyszenia masonów nie ma w prawdzie podstawy.

Stowarzyszenia mularzy sięgają bardzo dawnych czasów, bo wiadomo, że architektura, z wszystkich sztuk zapewne pierwsza, potrzebowała wysokiego stopnia nauki, by wyliczyć stósunki pojedyńczych części budowli.

Prawdopodobnie istniały już takie stowarzyszenia, rodzaj cechów i innych także rzemieślników za czasów Numy, o czém świadczą „Collegia Fabrorum“, a jak w owych czasach religijne i polityczne instytucye zawsze się łączyły i mięszały, owe „collegia“ miały cele religijne, domowe i polityczne.

Odbywając swoje zebrania przy zamkniętych drzwiach, często musiały się kollegia stać schronieniem dla politycznych partyi, jak równie pod względem religijnym łatwo znalazły wstęp zasady i misterya innych narodów.

Pewną jest rzeczą, że liczne korporacye mularzy istniały w miastach rzymskiego państwa i w legionach i wiele ich utrzymało się nawet po upadku rzymskiego państwa tak na wschodzie, jako i na zachodzie.

W X wieku królowie angielscy Alfred i Athelstan ściągnęli ze wszystkich stron Europy artystów i budowniczych. Pochodząc z różnych narodów i będąc różnego wyznania, puścili się oni tylko pod pewnemi warunkami, zagwarantowanemi przez królów i papieży, zachowując zawsze jako fundament ustawę rzymskich kollegiów, co im także nadało odrębną jakąś tajemniczą cechę.

Z napływem rozmaitych narodowości i wyznań, tolerancya musiała być najwyższém prawem tych korporacyi, i skutkiem tego za czasów prześladowań religijnych, musiały one być bezpieczną przystanią dla ludzi, których zasady były w domu prześladowane.

Ponieważ do tych korporacyi także i księża należeli, mianowicie tacy, którzy architekturą się zajmowali, w zebraniach zawsze panował duch pobożności, nawet pietyzm, a wszystkie czynności przybierały formę symboliczną, religijną — tajemniczą. Treść tych symbolów pochodziła z rozmaitych wieków i od rozmaitych narodów; ukrywano te symbole tak przed podejrzliwym wzrokiem rzymskiego kościoła, jak i przed niewtajemniczonemi, nie należącemi do cechu, jak jeszcze za naszych czasów miały i mają cechy swoje znaki, formułki i zwyczaje, nie znane nienależącym do nich ludziom.

Odosobnienie to z jednéj strony miało za cel zachowania członkom korporacyi pewnych przywilejów, a z drugiéj strony dalszy rozwój sztuki. Chrześciańskie nauki, — tak dogmatyczne jako i etyczne, — zlewały się z tradycyami cechu w jedną całość i z tych to elementów utworzyły się misterye, tajemnice, które z biegiem wieków tracąc swoje znaczenie, swoją zrozumiałość dla członków, stały się próżną formą, nawet dla wtajemniczonych.

Lecz nie tylko w Anglii, ale i w innych stronach Europy utworzyły się takie tajne mularskie (maçon) stowarzyszenia, i im zawdzięczamy owe pamiątkowe olbrzymie gmachy, niekiedy nawet niedokończone, które obecnie jeszcze podziwiamy. Katedry w Kolonii, Strasburgu, katedra (tak zwana fara) w Warszawie, i zapewne téż kościół Panny Maryi u nas w Poznaniu są dziełami — wolnych mularzy, masonów, oni to utworzyli styl gotycki w architekturze, który zatém jest płodem wszystkich chrześciańskich narodów, a prawdopodobnie i maurów. Styl ten — a to powiemy tu nawiasowo — nie jest płodem teutońskiego ducha, jak w nas nieraz chcą wmówić Niemcy, lecz płodem wszystkich narodów, a zatém kosmopolityczny, jak w ogóle duch średnich wieków był kosmopolityczny.

To co dotąd powiedzieliśmy, czerpnęliśmy z dzieła, które wprawdzie dopiero w naszym stuleciu w roku 1819*) ogłoszoném zostało, lecz które dostarcza materyału do badań ustaw wolnych mularzy czyli masonów w odległych wiekach.

W Anglii fundamentem korporacyi masonów pozostał się statut z 926 roku, który się jednak powołuje na ustawę z 300 roku i onę w sobie mieści, a ten statut z X wieku był przez króla Athelstana potwierdzony. Do masońskiéj

*) W dziele: Die drei ältesten Urkunden der Freimaurerbrüderschaft. 2 tomy. Drezno.

korporacyi nie sami tylko mularze mieli wstęp, ale i tacy którzy się zajmowali wyzwolonemi sztukami budownictwu potrzebnemi. Wyzwolone sztuki t. j. wolne sztuki, wolny mularz, mason; zatém wszyscy co do korporacyi należeli, byli wolnemi mularzami, masonami.

Konstytucya angielskich wolnych mularzy, a oni byli i są wzorem wszystkich na stałym lądzie, została się bez zmiany do XIV wieku; wtenczas zaszły zmiany ustaw innych cechów, jak również i cechu wolnych mularzy.

Z biegiem wieków bowiem wcisnął się zwyczaj przyjmowania do cechu wolnych mularzy także i niemularzy, ale protektorów wyzwolonych sztuk, zapewne jako członków honorowych z początku, a potém powoli jako rzeczywistych.

Książęta, lordowie, a nawet królowie Anglii częstokroć należeli do ruchu wolnych mularzy, który skutkiem tego przekształcić się musiał, gdyż same towarzyskie położenie rozmaitych osób, podług wyobrażeń owych wieków — a w części i naszego jeszcze — stało się zbyt nierównėm. Otóż i początek właściwych loż wolnych mularzy, początek straszydła dla ludu, masonów, do których uczeni, królowie a nawet biskupi należeli. Rozwój cechów, przypuszczających do swego grona ludzi różnego wykształcenia i rozmaitych stanów, stał się przyczyną przemiany wolno mularskich cechów na loże.

Ostateczne odrodzenie loży datuje z roku 1717, kiedy w Londynie samym jeszcze cztery istniały. Trzech członków staréj korporacyi, między nimi Anderson, stali się reformatorami stowarzyszenia. Postanowiono zatrzymać w prawdzie fundamentalne prawa dawnych stowarzyszeń, lecz nowe stowarzyszenie zupełnie nie robić zawisłém od znajomości sztuki mularskiéj. Zadaniem nowego stowarzyszenia stały się: braterska miłość, pomoc i uczciwość, czyli wzajemna pomoc.

Odtąd stowarzyszenie zaczęło się rozprzestrzenić przez całą Europę i te części świata, które przez europejczyków były zajęte.

W Paryżu pierwsza loża została założoną 1725 roku, w Niemczech w dziesięć lat późniéj. Wszystkie loże wzięły sobie za wzór angielskie, i wymagały jak one od wstępujących:

1) wyznania jednéj, jakiéjbądź objawionéj religii; tolerancya zatém musiała być wielka;

2) posłuszeństwo dla praw moralności i krajowych.

Dyskusye religijne i polityczne, nienawiść prywatna i spory są wykluczone z towarzystwa, którego członkowie, bez względu na stan i urodzenie są braćmi, a zatém równość panowała najkompletniejsza.

Jednak znajduje się w konstytucyach angielskich loż uwaga, że „najwyższy urząd związku dopóty ma być piastowanym przez każdego bez wyjątku z należących do niego, dopóki nie wstąpi jaki człowiek z wysokiéj szlachty. Frazes jednak taki łatwo na karb ogólnie jeszcze w owych czasach panującego przesądu kłaść można, choć on dowodzi, że właśnie w owym też czasie próżność i względy na obywatelskie stanowisko do tego braterskiego związku wciskać się potrafiły.

Emblematycznym znakiem stowarzyszenia jest czworobok. Każde z nich ma swoich urzędników, a kilka loż łączy się we wielką lożę, na któréj czele stoi wielki mistrz. Członkowie loży dzielą się na uczniów, czeladników i mistrza.

W późniejszym czasie powstały spory i wprowadzono jeszcze inne stopnie do nowych loż. W niemieckich lożach utrzymała się zasada, że nie potrzeba liczniejszych stopni, gdyż tych trzech dosyć, aby w pospólstwie utrzymywać mniemanie, że w lożach istnieją jakieś tajemnice, że się w nich odbywają misterye, których najwyższa, znana tylko samemu wielkiemu mistrzowi jest — że nie ma żadnéj!

Przeszłe stulecie było mianowicie skłonnym do założenia tajnych towarzystw. Europa stanęła na progu wielkich wypadków: przygotował się przewrot w zasadach polityki i nauki. Co najzacniejsze łączyło się, żeby ckliwą prozę życia okrasić w pogadankach, w poufnych rozmowach kółka oświeceńszych ludzi. Ludzkość w ogóle przybyła do granicy nauki, któréj sceptycyzm strzeże jakby stróż wierny; po za tą granicą leży z jednéj strony łatwowierność a z drugiéj przesąd. Nie dziw więc, że ludzie, których pragnieniem był postęp, którzy czuli, że jest możliwy i potrzebny, schodzili się i tajemnicą się otoczyli przed wzrokiem tłuszczy, któréj oko każde światło razi. W takim razie tam gdzie jéj nie ma, tworzy się umyślnie tajemnicę, bo to nieraz sprawia przyjemność być nieco łudzonym i kogoś tak samo nieszkodliwie łudzić.

I rządy w przeszłym stuleciu przeczuwały, że się gotują jakieś zmiany opinii, że trony z bożéj łaski nieco blasku i pewności bytu straciły, a domniemywając się, że to są skutki tajnych związków, w niektórych krajach zaczęły je prześladować. Wszakże wiadomo, że Fryderyk II jako następca tronu należał do wolnych mularzy, i jako członek tego związku zapewne się przekonał, że cele jego są dobre, choć kosmopolityczne. Nie on téż ostatni z panujących należał do masonów.

Za przykładem masonów utworzyły się potém rozmaite inne związki, szczególniéj akademickiéj młodzieży, z tendencyą polityczną, tudzież związek Illuminatów, na wzór zakonu jezuitów przez ex-jezuitę Adama Weishaupta w r. 1776 założony i zorganizowany; związek Węglarzy (Carbonari) we Włoszech, Hetäria w Grecyi, kosynierów Łukasińskiego, Promienistych i Filaretów w Polsce i Litwie, Templaryuszów na Podolu i t. p.

Do właściwych masonów należał nawet przez niejaki czas car moskiewski Aleksander I, póki chorował na liberalizm. Późniéj wystąpił z loży i zakazał towarzystwa, kiedy w bujnéj wyobraźni pomięszały się idee o masonach i innych tajnych związkach, z celem politycznym.

Że u nas filantropiczny i można powiedzieć bezbarwny związek masonów wyrodzić się musiał w związki z wyrazistą barwą polityczną, leży w naturze rzeczy; naród podbity, zawsze myśleć będzie o swém oswobodzeniu, póki jeszcze czuje w sobie iskrę żywotnéj siły.

Był czas u nas manii stowarzyszeń politycznych; najniewinniejsze stowarzyszenie przeradzało się w spisek — lecz dziś już naród doznał, że na innéj drodze do celów swych dążyć musi. Masoneria jako za zasadę mająca kosmopoli-

tyzm nie może przyjaciół w nas znaleźć — w nas dla których utrzymanie narodowości pierwszym jest artykułem katechizmu politycznego.

To co tu powiedzieliśmy o wolnych mularzach, każdy czerpnąć może z literatury tego towarzystwa. Z pomiędzy licznych dzieł wspomniemy tylko o Lemingu: Freimaurer encyklopedie, Lipsk 1822 — 1828; Histoire du Grand — Orient de France, Paris 1812. Latomia, Lipsk 1841. Kloss Bibliographie der Freimaurer (Altenburg 1844). Neyfeld: Polens Revolution und Kampf, Frankfurt 1842.

Z tych to pism łatwo się każdy przekona o szlachetnych celach stowarzyszenia i jeżeli inne wyzyskują ciemnotę ludu w celach egoistycznych, mason każdy wspiera zubożałego brata zawsze i wszędzie. Powiedzieliśmy wyżéj i raz jeszcze powtarzamy, że stowarzyszenie to w naszych warunkach nie jest właściwe — my z położenia naszego wszędzie i zawsze skupiać winniśmy siły narodowe i niemi się bronić przeciw wciskającéj się obczyźnie, a podstawą masonów jest kosmopolityzm; ale mamy nadzieję, że tym krótkim szkicem rozwialiśmy strach przed widmem wolnych mularzy i ochroniliśmy łatwowiernych od krucyaty przeciw massonom. □

Polskie Kwiaty.

DO SIÓSTR NA WYGNANIU.

Kwiaty powiędły na Polskiej niwie —
Z dymem nadziei znikła ich woń —
Rosy kropelki spadły trwożliwie
W zwątpienia toń...

Wichry rozwiały zeschłe te liście
W głębie przepaści i na szczyt gór,
Osierocone!... Te kwiaty wyście,
Męczennic wzór!...

Wyście powiędły nie w lat podróży —
Nie wonnych marzeń zabite snem...
Wyście złamane, biedne, wśród burzy,
Przed życia dniem!

Słowik nie śpiewał do waszych wdzięków —
Kochanek nie śnił u waszych nóg...
Wyście złamane wśród bratnich jęków —
Wasz wianek — głóg...

Kwiaty powiędły na polskiéj ziemi —
Ale cnót waszych została woń:
I naród z czasem obwiąże niemi
Swą dumną skroń!...

1871. Bruksela.

Henryk Merzbach.

LISTY Z SYBERYI.

(Ciąg dalszy.)

Po dniówce wyruszyliśmy daléj; wjechaliśmy do tak zwanego burjackiego stepu.

Burjaci w dzikich swych, a raczéj nam niezwykłych ubraniach, na rączych koniach, które śmiało z wiatrami o lepsze pójść mogą, pędzą szalonym pędem w szerz i w dłuż stepu, jakby najważniejsze interesa wymagały szybkości błyskawicy lub bystrości myśli nawet, przyczém są uzbrojeni w sztucer, kaljan (chińską mosiężną fajkę), kapciuch i krzesiwo ogromne, oprawione w skórzaną kiesonkę, która służy do schowania hubki i krzemienia. Długie ubranie, tudzież okrągły kapelusz i ogromny warkocz, utrudnia obcemu rozróżnienie kobiety od mężczyzny, bo i kobiety jeżdżą na tém samém „tajożném“ siodle, co i mężczyzni, i jak oni pędzą po zielonéj puszczy.

Jak na samym wstępie powiedziałem, wyprawiono nas z Irkutska na samym początku Lipca. Upały były wielkie, do 30° dochodzące, a tu cienia niema, zdawałoby się, że tu światło bez cienia. Tylko w ułussach za płotem lub budynkiem jakim można było schronić się nieco od widoku słońca, choć wpływ jego pozostał się i tu nader wyraźny.

Pewnego dnia w krótce po przyjeździe naszym do etapu, gdzie siedzieliśmy w cieniu rzuconym przez płot, jedząc to czego nam nasze biedne torby dostarczały, przyjechały i trzy damy burjatki, które lekko jak sylfidy zeskoczyły z koni, takowe do płotu uwiązały i na jakie dziesięć kroków od nas na lichéj, bo wypalonéj murawie usiadły, wedle wschodniego zwyczaju, założywszy na krzyż nogi. Zaraz téż wydobyły one swój kaljan a nałożywszy go tytoniem zapaliły sobie fajeczkę, zaciągając się przy tém wcale nie gorzéj od nas lub mężczyzn przywykłych do tego sposobu palenia. Już mnie raził sposób siedzenia tych dam, bo żadna kobieta europejska na dziesięć kroków od mężczyzn tak nie śmiałaby siadać. Zaledwie jednak wypaliły one swój kaljan, aliści zaczynają się rozbierać bez względu na nas, a raczéj tyle nas uwzględniając, ileby nasza kobieta uwzględniła statuę marmurową lub obraz olejny.

To właśnie było mi dowodem wysokiéj dumy rasowéj. Czego się żona lub córa Hunna, człowieka par excellence ma wstydzić, gdy niehunn — nieczłowiek — widzi odkryte wszelkie jéj wdzięki? W swéj dumie rassa żółta uważa naszą rassę białą za zbyt niską, może tak jak my uważamy

sobie jakie zwierzę domowe, jakiego pieska pokojowego, przed którym nie ma się czego żenować.

W tym tak prostym kostjumie piękne mongolki poszły około tysiąc kroków do strumyka, czy też rzeczułki, w któréj woda była pod kolana i tu z piętnaście minut się kąpały. Wracały jak poszły, bez pospiechu i bez żenady, usiadły znów na murawie, zapaliły na nowo swój kaljan, zaciągały się jak poprzednio, gawędziły, śmiały się i skończywszy rozmowę i fajkę, wstały, ubrały się, wskoczyły na koń i — uleciały z wiatrem.

Nie powiem żeby mnie te żywe statue, które w tak rozlicznych pozach widziałem, zachwyciły. Burjatka jak mongolka w pustyni za Kjachtą, nie ma powabu, bo jest za mało kobietą, jeśli już niechcemy zważać na fizyonomię nie mającą wyrazu, a raczéj mającą wyraz głupoty, wyraz martwego ciała o grubych formach.

Tylko jedną kobietę mongolsko-finskiego plemienia widziałem, która relatywnie była piękną: to była jakutka.

U jakutskiego plemienia profil mongolski w ogóle jest wyrobiony do niesłychanie wybitnego stopnia, rzekłbym, że do olbrzymich rozmiarów, tak dalece, że nieraz przyszła mi myśl, że właśnie jakut jest prototypem mongolskiéj rasy i że Tunguz, Burjat, Mongół, Ujgurski Tatar, Karagaz, przedstawiają formy już uszlachetnione pod wpływem jakiéj takiéj cywilizacyi.

Mimo to jakutka, o któréj wspomniałem, była w swoim rodzaju pięknością.

Wystawcie sobie kobietę młodą, mającą nie więcéj dwadzieścia lat, ubraną w czarne żałobne suknie, jak u nas, co niezmiernie podniosło wyrazistość twarzy żółtawo-miedziannego koloru, któréj pojedyńcze części nie były tak olbrzymio rozwinięte, jak to widziałem u innych ludzi tego szczepu, mianowicie usta były nierównie mniejsze niżeli u mężczyzn, u których ta część twarzy ma niezmierne podobieństwo do szczęk angielskiego buldoga lub — gorylla; wystawcie sobie tę — choć większe niżeli u Polek — usteczka ozdobione dwoma rzędami ząbków, jakby umyślnie przez jakiego mistrza zrobionych z mamutowéj kości; wystawcie sobie warkocz własny, a nie kupiony i przyprawiony szynion, wytoczony z hebanu do grubości piszczeli ręki ludzkiéj, a rzeźbiony w sploty ręką sztukmistrza; wystawcie sobie te zęby, ten warkocz i kibić, których nie jedna kobieta europejska by jéj zazdrościła aż — do spazmów, a pojmować będziecie, że to była kobieta piękna w swojem rodzaju, którą gdy miała lat szesnaście i europejskie — w instytucie w Jakutsku odebrane — wychowanie, mogła się podobać lekarzowi europejskiego pochodzenia, który żyjąc w Jakutsku, z nią się ożenił, a po kilku latach pożycia, wdową zostawił. Wyjechała ona ze swojéj strony, by żyć u rodziny męża, w Telminskiéj fabryce, gdzie ją poznałem i od niéj słyszałem, że za nic w świecie nie mogłaby już żyć z swoją rodziną, któréj zwyczaje stały się dla niéj obcemi, jeśli nie odrażającemi.

Koło ósmego Lipca, jadąc już trzeci czy nawet czwarty dzień stepem, nie daleko od drogi spostrzegliśmy krzaczki, żywo przypominające zagajenie olszowe, mięszane z brzezinką. Dwóch czy trzech konno konwojujących nas burjatów, szybko jak błyskawica, poleciało ku tym krzakom i po upływie kilku minut widzieliśmy, że wracają, trzymając każdy pęk gałązek w ręku.

Gdy się do naszych wozów zbliżyli, spostrzegłem że te gałązki są pozawieszane perłami i koralami, a raczéj czémś lepszém jeszcze — owocem, który nam żywo przypominał naszą rodzinną ziemię, naszą stronę, nasz nam luby kraj; były to gałązki żółto-zielonych i czerwonych porzeczek, które tam i daleko jeszcze ku północy dziko rosną. Z pewną gracyą rycerską porozdawali nam nasi stróżowie gałązki przez nich zerwane, pytając się dumnie, czy i u nas rosną takie prześliczne jagody? Opowiadaliśmy naiwnym wpółdzikim, że u nas i te i inne jeszcze smaczniejsze jagody i owoce rosną, że w naszych stronach pyszne są ogrody, cudne łany, piękne lasy, wielkie miasta, a w nich szkoły, rozsiewające oświatę, w czém — jak się późniéj przekonałem — nieco przesadzaliśmy, gdyż i nasze szkoły przyczyniają się do zwrotu nauki, do pochodu na stanowisko, na którem stała od XI do XIV wieku lub w XVII wieku w Paraguai. Lecz wtenczas, między burjatami, w rozległym stepie, sądziłem że Europa na drodze, na któréj była w 50 latach, zrobiła olbrzymi postęp, i antycypując to, coby w takim przypadku staćby się powinno, opisałem burjatom jako już istniejące.

Tegoż dnia zatrzymaliśmy się blisko ułussa, bardzo rozległego, w którym, jak nam powiedzieli eskortujący nas burjaci, bardzo bogaci ludzie mieszkają. Nie mieliśmy chleba, którego już drugi dzień łaknęliśmy, żyjąc tylko mięsem suszoném na słońcu.

Nasi przewodnicy zaprowadzili nas do obszernéj jurty, która jak wszystkie inne zachowując pierwotną strukturę okrągłą, była zbudowana z okrąglaków, mając w środku dachu otwór, przez który dym uchodził. Tak zdaje się, że wszystkie narody w swéj architekturze zachowały ślady pierwotnych swych mieszkań, które to ślady chyba dopiero ostatecznie się zatarły, kiedy doszedł którykolwiek z nich do bardzo wysokiego szczebla cywilizacyi, i łączył w jednę harmonijną całość piękności i dogodności innych rodzajów architektury.

Ściany wewnątrz jurty były wprawdzie nieobrobione, jak i zewnątrz, lecz bogate tureckie i perskie kobierce — których obecność w tém miejscu z resztą raziła — zakryły tę surowość dostatecznie.

Kufry okute we wielkiéj liczbie, sprzętów miedzianych niemała masa, świadczyły wraz z temi kobiercami i bogatym strojem pani domu o wielkiéj zamożności gospodarza.

Kilku mężczyzn i kobiet — ostatnie suto przystrojone w złote i srebrne tarczyki, korale i srebrne ruble, siedziało w środku jurty na pysznych kobiercach, nogi założone po turecku. Wszyscy palili swój kaljan i milcząco patrzeli na ogień rozłożony pod ogromnym kotłem wiszącym na wysokim drewnianym trójnogu, mając formę niezgrabnie wyrobionego statywu użytego przy miernictwie.

Milcząco przyjął nas gospodarz i obecni, patrząc na nas jakby na rarogów. Uderzyła mnie chciwość tych ludzi. Wszystko bowiem świadczyło w tém mieszkaniu o niezwykłém bogactwie — a o pół kopiejki targowano się z nami przy

kupnie kilku funtów chleba, upieczonego w płaskich nie wielkich okrągłych bochenkach.

Spostrzegłem, że w ogromnym kotle, o którym wspomniałem, nad wolnym ogniem warzy się mleko i pytałem się czyby nam niesprzedali nieco świeżego, słodkiego mleka. Nie było właśnie słodkigo mleka, ale zwarzone, które nazwano „burdjuk.“ Każdy z nas kupił tego burdjuku za kilka kopiejek, biorąc téj delikatesy ile mógł w „tujas“ — naczynie z brzozowéj kory — i powoli opuściliśmy jurtę w nadziei że obiad będzie suty, choć z cudzoziemskiego pokarmu.

Do etapu już nie było daleko. W pół godziny mniéj więcéj zajechaliśmy, a umywszy się, bo każdy był zakurzony do niepoznania, usiedliśmy w najchłodniejszém miejscu i zabierając się do jedzenia.

Chleb był gorzki — choć nie tak gorzki wprawdzie jak chleb łaski i chleb niewoli — ale czuć można było piołun, w zbytecznéj masie, a prócz tego miał chleb jeszcze jakiś przysmak nieprzyjemny, czy raczéj zapach odrażający, tak że go przy najlepszym apetycie jeść nie można było, z czego się pilnujący nas burjaci mocno dziwili, a że to byli biedni, na których i śladu koszuli nie było widać pod wytartym kożuchem, to .się i cieszyli z tego, bo wszyscy chleb ten im oddaliśmy.

Zabraliśmy się do burdjuka. Był to jakiś odwar mleka z mąką, jakaś mięszanina kwaśna, gorżka, którą chyba burjat z apetytem jeść może; europejczyk nigdy. Jednak nie wątpię czy to nie z téj mięszaniny powstała węgierska brynza, która do węgierskiego wina tak wybornie smakuje. Może iż burdjuk się w Europie ucywilizował, żeby pod formą brynzy nam się spodobać. Burdjuk wyleliśmy po części, resztę zjedli burjaci, którzy nawet to cośmy wyleli z ziemi podnieśli i — zjedli.

Zanim ten pierwszy list ukończę, i z czytelnikiem się udam nad brzeg olbrzymiéj Leny, jeszcze o nader nieprzyjemném dla mnie zajściu wspomnieć muszę, które zarazem świadczy o tém, że mongoł zawsze mongołem i że tém gorszy, im więcéj ma sobie powierzonéj władzy moskiewskiéj. Mogę tém spokojniéj zakończyć tém zdarzeniem, że i tak jeszcze w jednym z następnych listów wspomnieć muszę o tym szczepie mongolskim.

Jednego dnia — zajechaliśmy do mongolskiéj wsi, leżącéj na 21 wiorst — 3 mile — od rosyjskiéj wsi Manzurka — gdzie kiedyś była wołość. W téj wsi mieszkał „Tejsza“ burjatski (książę) Aleksiej. Blisko wsi jest piękny gaj brzozowy, w którym są groby burjatów. Każdy ich cmentarz, jak powiadają, powinien być porosły drzewem.

Było to jakieś święto burjacko-mongolskie, i ex re tego święta Tejsza był pijany, choć, jak później się dowiedziałem, on sobie często sam święta wyprawiał.

Pijany przechadzał się przed dobrze urządzonym, choć drewnianym domem, z żoną, któréj wzrost i tusza przypomniały mi nie amazonki, ale Herkulesa. Twarz jéj była mniéj brzydka, jak innych kobiet tego szczepu, a ogromna pierś była pokryta — kirysem z najpiękniéjszych korali. Złota, srebra, brylantów i korali na téj olbrzymiéj kobiecie było najmniéj za 12—15000 Rubli.

Pijany Tejsza kazał konwojowi zatrzymać się, a potém pytał się u każdego woza siedzącego po lewéj stronie „kto ty? Polak?“ Rozumie się, że nikt się nie wyparł swéj narodowości, poczém usłyszał małe kazanie, że wszystkich Polaków, jako buntowników trzeba było powiesić, coby on niechybnie był zrobił, gdyby był imperatorem; że imperator łajdak, łotr sam, i dla tego nas nie powiesił, i — zapewne żeby się na drugi raz nie zbuntować — każdego po téj przemowie uderzył w twarz.

Ja siedziałem na ostatnim wozie, po stronie Tejszy. Postępowanie jego oburzyło mnie, gniewałem się na towarzyszów że bezkarnie pozwolili się znieważać. Przygotowałem się, żeby nie dać się przynajmniéj bez wszystkiego policzkować.

Kiedy Tejsza do mnie przystąpił z często już słyszaném zapytaniem i skończył swoje znane mi także już kazanie, zabrał się i do mojéj twarzy. Ledwie jednak podniósł on rękę, żeby mnie uderzyć, kiedy go kopnąłem nogą w pierś tak silnie, że się potoczył i upadł. Wszyscy przytomni zbledli. Po chwili dał się słyszeć krzyk i gwar w gutturalnym mongolskim języku, kilku burjatów pobiegło w podwórze i w kilka sekund wrócili z pękami rózg. Mnie zaś w mgnieniu oka zdjęto formalnie z woza, rozebrano, o ile to było potrzebném, i mimo oporu powalono na ziemię, gdzie po cesarsku mnie chłostano. Czułem tylko, że wśród ogromnego bolu bita część ciała strasznie puchnie, a gdy prawie już byłem bezprzytomny, słyszałem głos gutturalny kobiety, która widocznie się prosiła, żeby zaprzestano mnie katować. Był to głos Tejszowéj i być może, że skutkiem tego wstawienia się ona mi się piękniejszą pokazała, niżeli inne burjatki.

Wszystkich Tejsza kazał związać; mnie bezprzytomnego prawie rzucono na wóz i galopem puścili się burjaci z nami w drogę do Manzurki. Kilka dni nie mógłem ni siedzieć, ni leżeć ni chodzić; lecz powoli i ten ból minął, prawie się zapomniał, a jeśli o nim wspominam, to chyba tylko dla scharakteryzowania mongolsko-moskiewskich wybryków, na jakie byliśmy narażeni w czasie naszéj podróży.

W Kaczudze już, gdzie przybyłem prawie wyleczony, udałem się ze skargą do Zasjedatela, Polaka, który jednak téj skargi ani przyjąć nie chciał. Powiedział mi wręcz, że przyjęciem jéj naraziłby się sam, tak u Tejszy, jako nie mniéj u najwyższéj władzy w Irkutsku, że zatém nie dopomagając mi nic, samby sobie zaszkodził, gdyż rząd przychylności Tejszy potrzebuje dla utrzymania w posłuszeństwie barjatów oajacko-burjackiego stepu.

Ten sam Tejsza, kilka lat temu będąc także pijany, kazał przejeżdżającego Isprawnika tak samo jak mnie położyć i wytrzepać, za co — Isprawnik jeszcze, kiedy szukał sprawiedliwości u wyższéj władzy, został ukarany usunięciem z urzędu.

Słysząc to, dałem Tejszy Aleksiejowi za wygrane, odpocząłem z kolegami dwa dni we więzieniu w Kaczudze, z którego okien miałem przecudny widok przez całą wieś i przez — Lenę. Wtenczas to, jak już kilka razy poprzednio, żałowałem, że w młodości nie miałem pociągu do rysunków. Byłbym ten widok cudny, oddał w rysunku. Za późno!

Albin Kohn.

SPALONE GMACHY W PARYŻU.

(Z ryciną.)

Palais royal kazał zbudować Jakóbowi Le Mercier kardynał Bichelieu w latach 1624 do 46. Dla tego nosił on naprzód nazwę l'Hôtel de Richelieu, późniéj Palais Cardinal. W r. 1639 darował potężny minister swój pałac Ludwikowi XIII; dnia 7 Października 1643 zamieszkała w nim rejentka Anne d'Autriche wraz z młodym Ludwikiem XIV, który wstąpiwszy na tron, odstąpił go swemu bratu Filipowi Orleańskiemu. Rejent odbywał następnie tutaj rozgłośne swe orgie, ale obok tego ozdobił pałac galeryą obrazów. W r. 1793 przekształcono go na Palais Égalité, w r. 1795 na Palais de Tribunal. W r. 1814 odzyskali pałac Orleanowie, którzy w nim rezydowali aż do r. 1848. Napoleon III ofiarował go królowi Hieronimowi, po którym przypadł w spadku księciu Napoleonowi.

Architektura pałacu, otoczonego pierwotnie labiryntem małych uliczek, zniesionych przez pana Haussmanna, była wprawdzie mięszana ale harmonijną i wspaniałą przedstawiają całość. Wszystkie fronty zdobiły rzędy kolumn rozmaitych stylów, wewnątrz znajdował się ogród z wodotryskiem. Słynne były główne wschody, wiodące do wnętrza pałacu, oraz oszklone galerye, w których się znajdowały najpiękniejsze składy, mianowicie złotnicze; słynne restauracye „Trzech braci Provenceaux", Very i Vefour, kawiarnie de Foy, z malowaną przez Verneta w czasie śniadania na suficie jaskółką, de Périgord, de la Rotonde, Chartres, Lemblin i wiele innych, w których od najwykwintniejszych do najskromniejszych obiadów i wieczerzy można było dostać codziennie. Jak wspaniałe były galerye w Palais Royal, dość powiedzieć, że galerya 'Orleans miała 300 stóp długości a 40 szerokości. Galerye Valois, Montpensier i Beaujolais, kończące się dwoma perystylami, połączonemi galeryą de la Rotonde, otaczały ogród. W lewém skrzydle pałacu znajdował się Theâtre Français i du Palais Royal, najznakomitsze we Francyi, a może i na świecie przybytki sztuki dramatycznéj.

Wnętrze palais Royal niemniéj było piękne jak zewnętrzna postać. Wprawdzie uszkodzono dużo malowideł i rzeźb w czasie rewolucyi Lutowéj, ale książę Napoleon wiele łożył na ozdobienie pałacu, z którego obszernych sal wymienimy tylko najznaczniejsze, jak des Aides de camps, de Reception, du Trone, w któréj Ludwik Filip w czasie rewolucyi Lipcowéj przyjmował wszystkie deputacye, de Societé, Galerie dorée i Salon bleu.

Pałac Luksemburgski znajduje się po drugiéj stronie Sekwany. Zbudował go Desbrosses według wzoru pałacu Pitti we Florencyi w roku 1615. Pierwotnie należał gmach na tém miejscu stojący do księcia Epernay-Luxembourg, od którego go nabyła Marya de Medicis i całkiem przebudować kazała, poczém go oddała Gastonowi d'Orleans. Następnie stała się jego właścicielką przez kupno Mademoiselle de Montpensier, po niéj zaś zamieszkała tu słynna z szerokiego serca i wyśmienitych wieczerzy księżna de Barry, córka, a jak utrzymują niektórzy historycy, i kochanka rejenta. Przed rewolucyą posiadał pałac Ludwik XVIII, w czasie rewolucyi służył naprzód za więzienie stanu, daléj za rezydencyą dyrektorów, wreszcie trzech konsulów. Napoleon I oddał go senatowi, w r. 1814 zasiedli w nim panowie Francyi, w czasie rewolucyi Lutowéj odbywali w nim robotnicy posiedzenia pod przewodnictwem Louis Blanc'a, za Napoleona III znów był rezydencyą cesarskiego senatu.

Fasadę pałacu zdobiły trzy rzędy kolumn, dolna porządku toskańskiego, środkowa doryckiego, górna jońskiego. Dwa boczne pawilony połączone były tarasami i galeryami; nad wejściem głównem wznosiła się kopuła. Najpiękniejszą za salą pałacu była sala posiedzeń senatu, zbudowana w półkole; następnie sala przedwstępna i Herkulesa. W drugiéj znajdowały się posągi sławnych mężów starożytności, w pierwszéj t. j. w sali posiedzeń, posągi i popiersia najznakomitszych mężów stanu Francyi, oraz marszałków Masseny, Lannes, Gouvier St. Cyr i Mortier. Z sali posiedzeń wchodziło się do sali tronowéj, nader bogato ozdobionéj. W sali bibliotecznéj znajdował się na suficie obraz al fresco, pędzla Delacroix. — Obok pałacu wznosił się mniejszy, połączony z nim gmach, zwany Petit Luxemburg, zbudowany w r. 1629 przez Richelieug'o, w którym byli swego czasu uwięzieni marszałek Ney, a późniéj ministrowie Karóla dziesiątego.

Pałac l'Elysée Napoléon wzniósł w r. 1718 Molet dla hrabiego d'Evrdux. W r. 1776 upiększył go znacznie architekt Boullée, następnie Napoleon I i III. Neleżał on z kolei do Burbonów i Napoleonidów. Rezydował w nim Ludwik Napoleon jako prezydent rzeczypospolitéj; w czasie wystawy powszechnéj służył za rezydencyą carowi Aleksandrowi i sułtanowi. Był on jednym z najpiękniejszych w Paryżu gmachów.

Hôtel des Monnaies przy Quei Conti zbudował architekt Antoine w roku 1771 do 75. Od strony rzeki miał długości 360 stóp i mieścił trzy piętra po 26 okien. Przedsionek i wschody ozdobione były mnóstwem posągów i allegorycznych ornamentów. W wspaniałéj sali unosiło sufit 20 kolumn koryncklich. Tu téż znajdował się rzadkiego bogactwa gabinet monet.

Pałac du Quai d'Orsay razpoczął budować Napoleon I, a dokończył Ludwik Filip. Tu zasiadała rada stanu i najwyższa izba obrachunkowa. Urządzony na zewnątrz i wewnątrz z wielkim przepychem, zawierał dużo drogocennych posągów i malowideł.

Pałac de la Légion d'honneur kazał zbudować książę Salm w r. 1787. Napoleon kupił go w roku 1814 i przeznaczył dla kanclerza Legii konorowéj. Napis na nim opiewał: honneur et patrie! O obojgu zapomniała komuna, niszcząc ten gmach wspaniały.

Szarada.

Dzisiejsze zagadnienie z pewnością jest warte
By nad niem pracowały głowy drugie czwarte,
Niech się więc do domysłów, przypuszczeń i narad
Zabierze zacne wszystko lubowników szarad.
Drugie, trzecie i drugie, są jadalne rzeczy —
Że temu z czytelników żaden niezaprzeczy,
Choćby chęci po temu miał dosyć najszczerszych,
Talarów piąte pierwsze stawiam, lecz pięć pierwszych.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 29: *Nadzieje.*)

Korespondencye Redakcyi.

Panom wierszokletom w Poznaniu i na prowincyi: Należałoby już zaprzestać żarcików. Otrzymujemy wiersze, w których chcecie panowie zadość uczynić albo uczuciom wezbranym, albo prowadzić polemiki, na co nam czasu i ochoty zbywa. — Panu Piotrowi S. w Berlinie: Pisaliśmy ale pod innym adresem. — Panu Sabowskiemu w Krakowie: Przypominamy się. — Panu Dr. K. w Inowrocławiu: Oczekujemy niecierpliwie. — Panu Morawskiemu w Ociążu: Prenumeratę w ilości 6 tal. 10 sgr. na dzieła Kraszewskiego otrzymaliśmy.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Sp. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel).